

Paweł Lisicki, DoRzeczy, nr 26, 24-30.06.2019 r.

Od czasu, kiedy to Izrael, w związku z nowelizacją ustawy o IPN, wypowiedział Polsce swoistą wojnę propagandową, ukazało się bardzo wiele tekstów, wypowiedzi, ba, nawet książek, na temat relacji Polaków i Żydów. Wydaje się jednak, że najpoważniejszą i najważniejszą napisał ostatnio Bogdan Musiał. „Kto dopomoże Żydowi...” to książka w pewnym sensie przełomowa, bo pokazuje prawdziwy kontekst, prawne otoczenie i postawę niemieckich władz okupacyjnych wobec Polaków i Żydów.

Kilka lat temu, po publikacji mojej książki „Krew na naszych rękach?”, gdzie pisałem o religii Holokaustu, podczas debaty na Uniwersytecie Warszawskim jeden z uczestników zapytał mnie, jak wyglądały relacje polsko-żydowskie w czasie okupacji. Odpowiedziałem, że to pytanie w takiej postaci nie ma sensu: kto chce mówić o relacjach polsko-żydowskich, kto chce badać skalę polskiej pomocy udzielanej Żydom, musi zacząć od polityki niemieckich władz okupacyjnych. To był bowiem czynnik kluczowy, absolutnie decydujący. To niemiecki terror, ściśle wynikający z całego niemieckiego prawa dawstwa przyjętego na ziemiach okupowanych przez III Rzeszę, kształtował wszystko.

Z ustaleń Musiała wynika, że od roku 1940 władze niemieckie systematycznie zaostrzały przepisy prawne skierowane przeciw jakiegokolwiek formie pomocy udzielanej Żydom przez Polaków, a od roku 1941 wprowadziły za wszelką formę kontaktów karę śmierci. Podstawą niemieckiej polityki eksterminacyjnej były nie tylko obwieszczenia i rozporządzenia władz, lecz także faktyczne ich stosowanie. Niemcy prowadzili politykę, co się zowie, gangsterską, stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej i wymuszając, za pomocą zbrodni i prześladowań, pożądane przez siebie zachowania. Sama liczba nowych przepisów i zmian w prawie, coraz bardziej morderczych i barbarzyńskich, pokazuje powszechność polskiego oporu.

„Z analizy omawianych ogłoszeń i odezw wynika, iż próby uniknięcia deportacji do obozów zagłady przez Żydów poprzez ucieczkę na stronę »aryjską«, czyli polską, podobnie jak gotowość pomocy zbiegom, były powszechne”. Niemcy wprowadzały coraz bardziej drakońskie kary, bo za wszelką cenę chciały powstrzymać polską pomoc. Gdyby przyjąć dominujące dziś wśród wielu holokaustianistów przekonanie, zgodnie z którym polskie społeczeństwo współuczestniczyło chętnie w ludobójstwie, wszystkie te niemieckie obwieszczenia, zakazy i groźby byłyby absurdalne. Po co Niemcy mieliby karać śmiercią całe wioski i masowo mordować pomagających Żydom Polaków, skoro nikt rzekomo pomagać im nie chciał? Najwyraźniej niemieccy oprawcy kierowali się inną logiką niż ta, którą usiłują im dziś wmówić

specjaliści z Princeton czy Ottawy. Widać, zakazywali tego, czego nikt nie robił, i zabijali tych, którzy chcieli im służyć.

Trzeba też pamiętać o tym, jak diabelskimi sposobami próbowali okupanci powstrzymać pomoc. Być może najbardziej poruszające przykłady dotyczą przypadków, kiedy to schwytani przez Niemców Żydzi wydawali swoich dobroczyńców na śmierć, a nie były to wcale jednostkowe przypadki. „Inna historia miała miejsce jesienią 1942 r. w lasach w okolicach Hadli Szklarskich, leżących ok. 20 km na południe od Łańcuta, gdzie ukrywała się grupa żydowskich uciekinierów. Miejscowi chłopci dostarczali im żywność, a niektórzy udzielali czasowo schronienia. Schwytana przez żandarmerię osiemnastoletnia Małka Schoenfeld, chcąc ratować życie, zdecydowała się wydać znanych jej Polaków, którzy pomagali żydowskim uciekinierom. 4 grudnia 1942 r. do Pantalowic przyjechała grupa sześciu niemieckich policjantów z posterunku żandarmerii w Łańcutie pod dowództwem Antona Hachmannna. Była z nimi Małka Schoenfeld. Wskazanych przez nią mieszkańców wsi zebrano w domu jednego z nich, a następnie zabito na podwórzu strzałem w tył głowy". Naprawdę, żeby w tej sytuacji, w której Niemcy grozili śmiercią, a ofiary gotowe były wydawać swoich pomocników, zdobyć się na jakąkolwiek pomoc, trzeba było być bohaterem, wręcz świętym.

Tym bardziej obrzydliwe są dzisiejsze próby odwrócenia historii, pisanie jej na nowo, jak próbuje to robić tzw. nowa polska szkoła historii. Doprawdy, podłe są te wszystkie usiłowania przypisywania Polakom zbiorowo czy to obojętności, czy wręcz zaangażowania w niemiecką politykę ludobójstwa.



Manipulacje i konfabulacje

Z prof. Bogdanem Musiałem, historykiem rozmawia Krzysztof Masłoń

KRZYSZTOF MASŁOŃ: Gdyby w tytule pańskiej książki: „Kto dopomoże Żydowi...” był znak zapytania, pomyślałbym, że może chodzi tu o Polaka, ale że jest wielokropek...

PROF. BOGDAN MUSIAŁ:... to też chodzi o Polaka, tyle że po przecinku: „Kto dopomoże Żydowi, ten podlega karze śmierci”. Sformułowanie to znalazło się w wielu niemieckich rozporządzeniach, po raz pierwszy w akcie mającym moc dekretu, wydanym 15 października 1941 r. przez Hansa Franka. Rozporządzenia różnie tłumaczono; zawsze najważniejsze było to, żeby właściwie je rozumiano. A „karę śmierci” rozumiano.

Pomoc Żydom też na ogół nie była doprecyzowana.

Nie było takiej potrzeby, chodziło o wszelką pomoc. W niedługi czas po Franku gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer pod groźbą kary śmierci zabronił Polakom przekazywania Żydom jałmużny i żywności, w tym także dla głodujących dzieci żydowskich. A skoro takie rozporządzenie zostało wydane, to znaczy, że tym głodującym dzieciom żydowskim Polacy pomagali.

Dopóki mieli komu... Żydowskie dzieci w pierwszej kolejności pojechały do Treblinki.

Według danych Józefa Gitlera-Barskiego, dyrektora komitetu opieki nad dziećmi w warszawskim getcie, ze 100 tys. żydowskich dzieci z getta ocalało 300. To były te, które znalazły schronienie w polskich rodzinach, po drugiej stronie muru. Jednak Ludwig Fischer mógł meldować latem 1942 r. o ograniczeniu czy wręcz likwidacji plagi żydowskiego żebractwa.

Zatrzymajmy się w tym miejscu. Przypomina pan w swojej książce słynny artykuł Jana Błońskiego z 1987 r. „Biedni Polacy patrzą na getto”, w którym ten krytyk literacki zarzucił Polakom obojętność wobec zagłady Żydów. Bez tego eseju nie może od tamtej pory obejść się żaden dyskurs dotyczący wzajemnych stosunków polsko -żydowskich.

Przywołałem ten tekst z uwagi na kolejną publikację, Tomasza Żukowskiego, też specjalisty od literatury, który autorytatywnie stwierdził: „W 1943 roku w Warszawie Jan Błoński jako chłopiec spotkał żydowskie dziecko, uciekiniera z getta. Wspomina, że nie mógł się do niego uśmiechnąć, bo to zostałoby zrozumiane jako szyderstwo albo zapowiedź donosu”. Otóż, w 1943 r. żydowskich dzieci, uciekinierów z getta, nie było w Warszawie. To nie jest drobiazg, pogarda dla faktów charakteryzuje wiele osób uważających się często za znawców tej problematyki.

Tymczasem pana książka wzięła się głównie z dokumentów.

No nie, wzięła się z historii rodzinnych, o których zresztą opowiadam w książce. To mój dziadek

ze strony mamy, Jan Trela, przez lata wyrzucał sobie, że odmówił prośbie wzięcia żydowskiej dziewczynki na przechowanie. Bał się mieszkających w tej samej wsi folksdojców, tego, że doniosą, a Niemcy zastrzelą nie tylko Żydówkę, lecz także jego, jego żonę i dzieci. Tematyką Holokaustu i relacji Polaków, Niemców i Żydów zająłem się na studiach historycznych, a w latach 1995-1997 przeprowadziłem kwerendę do doktoratu o niemieckiej administracji cywilnej w Generalnym Gubernatorstwie oraz niemieckiej polityce przeciwko Żydom na terenie Polski centralnej i wschodniej. Poznałem wtedy prawodawstwo okupacyjne zabraniające pomocy Żydom prześladowanym w okupowanej Polsce.

W efekcie dziś, gdy Polakom zarzuca się donoszenie na Żydów i ich mordowanie, a w najlepszym razie współudział w zbrodniach nazistowskich - bo nie niemieckich przecież - pan dowody na kłamstwo tych tez znajduje nie gdzie indziej jak w dokumentach niemieckich, niezauważanych, niewykorzystywanych przez Barbarę Engelking, Jana Tomasa Grossa czy Jana Grabowskiego.

Żeby skorzystać z materiałów niemieckich, trzeba znać język niemiecki...

Czyżby było inaczej?

Ani psycholożka Engelking, ani socjolog Gross niemieckiego według mojej wiedzy nie znają, natomiast Jan Grabowski utrzymuje, że zna ten język, ale jeśli nawet nauczył się go na jakichś kursach, to błędy, które popełnia, świadczą o słabej jego znajomości, a cóż dopiero mówić o jakże specyficznym języku niemieckiej biurokracji. Ale najgorsze jest co innego...

???

Symulowanie badań naukowych, bo z nim mamy do czynienia, np. w projekcie badawczym „Świadkowie Holokaustu - społeczeństwo polskie na terenach okupowanych wobec zagłady Żydów (1939-1945)”. Kierująca projektem Barbara Engelking z góry założyła, że jej celem jest redefiniowanie samego pojęcia „świadka” - oczywiście świadka Zagłady. Polak powinien bowiem pomagać Żydowi, a doniesić na ukrywającego się Żyda można było albo i nie, i nie miałyby to mieć jakoby związku z prawodawstwem niemieckim. No, to jest więcej niż błąd.

Sankcje groziły Polakowi za wszystko, co się z Żydami łączyło. A sprawa donosicielstwa też nie była wcale zupełnie prosta. We wsi sołtys, który „wiedział, a nie powiedział”, miał duże szanse na to, że zostanie powieszony albo rozstrzelany.

28 października 1942 r. dowódca SS i policji w Generalnym Gubernatorstwie Friedrich Wilhelm Kruger zadekretował w rozporządzeniu policyjnym obowiązek meldowania do władz niemieckich o zbiegach żydowskich - pod groźbą policyjnych środków bezpieczeństwa.

Co się kryło za tą nazwą?

Rozstrzelanie lub zesłanie do obozu koncentracyjnego, co często równało się karze śmierci.

Można odnieść wrażenie, że stosunek Niemców do Polaków pomagających Żydom zaostrzał się z każdym dniem...

Niemcy nabierali doświadczeń. Ale mylące byłoby wrażenie, że zanim okupanci spenalizowali tego rodzaju działania, Polakom nic za to nie groziło. Nic podobnego. W 1940 r., o czym wspominam w książce, Ludwig Fischer nakazał warszawskiej radzie adwokackiej, by pozbyła się osób pochodzenia żydowskiego. Dziekan Leon Nowodworski z innymi przedstawicielami rady interweniował u władz niemieckich z takim skutkiem, że zostali aresztowani i wywiezieni do obozów, skąd już nie wrócili.

Dopiero lektura „Kto dopomoże Żydowi...” uświadomiła mi prawdziwy sens opowieści, które pamiętam z dzieciństwa, a i później powtarzanych, o swoim dziadku, który w Białymstoku „za Niemca” handlował - jak słyszałem - „z Żydami z getta”. Nie widziałem w tym specjalnego powodu do chwały, a teraz myślę, że gdyby wtedy wpadł, mógł za to zapłacić życiem, wraz z moją babcią, ciotką, całą rodziną. Za to, że nosił do getta jakąś żywność, a przynosił jakieś przedmioty, może złoto.

Ale niech pan zwróci uwagę na to, że w tym samym postępowaniu Niemcy widzieli dokarmianie Żydów. A normy skazywały Żydów na śmierć głodową. Nawiasem mówiąc, normy dla Polaków były tylko trochę wyższe. W 1941 r. w miastach w Generalnym Gubernatorstwie średnia

wartość artykułów żywnościowych przyznawanych oficjalnie przez władze niemieckie wynosiła dla Żydów 184 kalorie, dla Polaków kalorii 654, a dla Niemców 2310.

Mówił pan wcześniej o manipulacjach dokonywanych przez Barbarę Engelking, przypominających mi zarzuty wysuwane wobec Grossa, o którym pan swego czasu pisał, że nie to jest ważne, czy jest zawodowym historykiem, czy nie, ale że wyniki swoich badań wykorzystuje w celach z nauką niemających nic wspólnego.

To samo się dzieje w wypadku Jana Grabowskiego - na dobrą wiarę przyjmującego relacje żydowskie i, niestety, również zeznania niemieckich urzędników - natomiast na punkcie polskich chłopów mającego jakąś fobię, bo oskarża ich o wszystkie możliwe zbrodnie na podstawie bardzo wątpliwych dowodów nawet, lecz tylko przesłanek do odpowiedniego rozumowania. Absolutnie szokująca jest skala konfabulacji w jego pracy „Judenjagd”. Manipuluje też danymi liczbowymi, co doprowadza go do stwierdzenia, jakoby to Polacy zamordowali podczas Holokaustu 200 tys. Żydów. Bezpośrednio lub pośrednio.

Przy tym powoływał się na artykuł Szymona Datnera, o czym mówię z tym większą przykrością, że Datner w latach powojennych zaznajomił się w Białymstoku z moim ojcem i potem bywał w naszym warszawskim mieszkaniu, a ojciec wyrażał się o nim jak najlepiej.

Bo i Datner nic podobnego, co przypisuje mu Grabowski, nie napisał. Cytuję w swojej książce wspomniany artykuł, a z niego te słowa: „W jednej z prac liczbę ocalałych Żydów [pod niemiecką okupacją] oszacowałem, głównie dzięki pomocy ludności polskiej - na ok. 100 000 osób. Równie orientacyjnie oceniamy, że co najmniej drugie tyle ofiar zostało wychwytyanych przez organa okupacyjne i padło ofiarą zbrodni”.

Organa okupacyjne... to przecież nie Polacy, nawet nie, nazywana granatową, Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa.

Która nie miała prawa wejść do getta - o czym nie wiedzą nieuki ochoczo zabierające głos na ten temat - a której pierwszym komendantem był Marian Koziński, brat sławnego Jana Karskiego.

Nie znaczy to, że ktoś taki jak Franciszek Kłos, zapijaczony i służący Niemcom zbrodniarz z opowiadania Stanisława Rembeka, był absolutnym wyjątkiem.

Oczywiście Policja Polska się zmieniała, Niemcy powołali w Nowym Sączu specjalną szkołę, gdzie kształcili młodych policjantów w zupełnie innym duchu. Starsi bowiem - jak się skarżyli - wykazali się wobec nich nielojalnością. Nieprzypadkowo najgorszą gehennę w Auschwitz, z transportów, które przybyły tam pierwsze, po 14 czerwca 1940 r., przeżyli Żydzi, księża katoliccy i policjanci właśnie.

Ciekawe, że także Sowieci, z terenów Polski, które zajęli w 1939 r., w pierwszej kolejności wywozili duchownych i policjantów.

Bo to byli polscy patrioci, pełniący służbę dla Rzeczypospolitej. Hitlerowcy na niemiecką modłę nie mogli ich przemienić, ale ich następców i zmienników, i owszem. A nie zapominajmy, że ten sam policjant, który do getta nie mógł wejść, poza nim miał obowiązek donoszenia o ukrywających się Żydach. Mógł tego nie robić, ale wówczas ryzykował, a szmalcownictwo wydawać się mogło opłacalne.

Czym były w Generalnej Guberni Sondergerichte?

To były sądy specjalne, utworzone na wzór podobnych ciał funkcjonujących w III Rzeszy od 1933 r. Charakterystyczne dla nich były uproszczone procedury, w tym brak konieczności przeprowadzenia postępowania dowodowego. A od ich wyroków nie można się było odwoływać, bo nie było gdzie. W październiku 1941 r. sądy specjalne otrzymały kompetencje orzekania w sprawach karnych za pomoc Żydom. I niemieccy sędziowie taśmowo orzekali kary śmierci. Uratować życie skazanym mógł jedynie generalny gubernator, z którego to prawa niekiedy korzystał. Ale ciekawe, że zastępca Franka, Josef Bühler, nie ułaskawił jedyne go obywatela Rzeszy, na którego sprawę natknąłem się w archiwach. Chodzi o Aloisa Hubera z Bawarii, który pracował w Krakowie jako kierowca ciężarówki. Podjął się, za spore pieniądze, nielegalnego przewiezienia mieszkających poza gettem Żydów z Krakowa do Nowego Targu. Niewykluczone, że była to prowokacja, w każdym razie ciężarówkę zatrzymał niemiecki patrol policyjny i Huber stanął przed sądem specjalnym. W październiku 1944 r. wykonano na nim wyrok śmierci.

Na początku okupacji wyroki były jeszcze znacznie łagodniejsze, a władze policyjne, które potem też wprowadziły własne sądy doraźne, stosowały areszt prewencyjny.

Trudno te sądy policyjne w ogóle uważać za sądy, a rozszerzenie ich kompetencji najlepiej okazało sławne rozporządzenie o zwalczaniu zamachów na niemieckie dzieło odbudowy w GG z października 1943 r., według którego kara śmierci groziła za „wszelkie uchybienia ustawom, rozporządzeniom, zarządzeniom i dyspozycjom władz okupacyjnych, popełnione z zamiarem utrudniania lub przeszkadzania w niemieckim dziele odbudowy”.

Do swojej książki wplótł pan osobistą narrację związaną z wydarzeniami w pana rodzinnej wsi - Wielopole w okolicach Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie jesienią 1943 r. niemiecki żandarm zastrzelił ukrywające się w stodole dwie żydowskie kobiety i dziewczynkę, po czym kazał zakopać zwłoki. Wszystko to działo się na oczach niemal całej wsi, a decyzje o powiadomieniu posterunku podjął miejscowy sołtys, gospodarz we wsi szanowany, który sam pomagał w ukrywaniu i Żydówki, i zbiegłego jeńca sowieckiego. Gdyby nie zgłosił tego wypadku, uczyniłby to znany we wsi donosiciel, mający na sumieniu zabójstwo, rozboje i pobicia, w tym jednej Żydówki. Sąsiad ten nazywał się - uwaga! - Zygmunt Masłoń. To nie moja rodzina, która wywodzi się z okolic Częstochowy, Zawiercia, Myszkowa, jest tam nawet wieś Masłońskie, niemniej pomyślałem sobie, że mojego stryja Tadeusza Niemcy rozstrzelali m.in. za pomoc Żydom. A cóż mógłbym począć, gdybym w rodzinie miał takiego Zygmunta, zresztą zlikwidowanego w 1944 r. przez AK, po wydaniu na donosiciela wyroku śmierci.

Nic, oczywiście, że nic.

A po wojnie, jak czytam w pana książce, mordercą w Wielopolu zajął się Sąd Okręgowy w Tarnowie, w 1949 r. uniewinniając sołtysa i gromadzkiego zakładnika tzw. dziesiętnika. Skazał natomiast na więzienie, wyroki wynosiły od jednego roku do ośmiu lat, syna sołtysa i trzech jeszcze mężczyzn.

Początkowo nie chciałem całej tej historii wprowadzać do książki. Dopiero gdy dzięki Piotrowi Gontarczykowi dotarłem do akt procesowych tej sprawy, mogłem zweryfikować znane mi przekazy rodzinne. Okazało się, że pokrywają się one z wynikami śledztwa.

Symbolem niemieckich zbrodni na Polakach ukaranych za pomoc Żydom stała się zbrodnia w Markowej pod Łańcutem, gdzie hitlerowcy zamordowali rodzinę Ulmów razem z ukrywaną przez nich rodziną żydowską, w sumie 16 osób i nienarodzone dziecko Wiktorii Ulmowej. Jednak mówi się o zbrodni, a nie o zbrodniarzu.

Akcją dowodził porucznik policji niemieckiej Eilert Dieken. To on podjął decyzję o rozstrzelaniu nie tylko małżeństwa Ulmów, lecz także sześciorga ich dzieci, w wieku od półtora roku do ośmiu lat. Dieken sam był ojcem trojga małych dzieci. Po 1945 r. kontynuował służbę w niemieckiej policji w miasteczku Essen na północy Niemiec. Nigdy nie poniósł żadnej kary za popełnione w Polsce zbrodnie, a jego najstarsza córka, z którą rozmawiałem w 2013 r., wspominała go ciepło. Wiadomości, które jej przekazałem, niespecjalnie ją poruszyły.

W pewien sposób pańskie spotkanie z nią było kontynuacją sławnych rozmów Krzysztofa Kąkolowskiego, który w 1975 r. opublikował swoje wywiady ze zbrodniarzami hitlerowskimi, do których pojechał do RFN, by zadać im właściwie jedno pytanie: Co u pana słychać? Tak też zatytułował swoją książkę.

Do swojej książki włączyłem jego krótkie opowiadanie „Bezruch, cisza i ciemność”, ukazujące wspólny dramat okupacyjny - Żydów i Polaków. Na okładce „Kto dopomoże Żydowi...” zamieściłem obwieszczenie niemieckiego starosty łowickiego dr. Heinza W. Schwendera z 17 grudnia 1941 r. ze słowami: „Zwracam jeszcze raz uwagę na zarządzenie, że kara śmierci grozi każdemu, który udzieli żydom opuszczającym miejsce odosobnienia bez zezwolenia Władz, lub też w inny sposób okaże żydom swą pomoc”. Schwender, mimo że po wojnie przebywał w obozach sowieckich i amerykańskich, zrobił w Niemczech karierę prawniczą.

Powojenne sądy polskie za pomoc i współudział w zagładzie Żydów skazały bardzo wielu Polaków, a także - co się skwapliwie przemilcza - obywateli polskich żydowskiego pochodzenia.

Tych skazanych były tysiące, a pamiętajmy też o wydanych i wykonanych wyrokach śmierci, za szmalcownictwo właśnie, przez sądy Polski Podziemnej, Dużo łaskawszy okazał się los dla niemieckich urzędników, prawników czy policjantów, którzy organizowali i nadzorowali „polowania na Żydów”.

Do sądów polskich, funkcjonujących w warunkach końca lat 40. i coraz bardziej widocznego stalinizmu, też można mieć zastrzeżenia...

Procesy te nie zawsze odbywały się z zachowaniem praworządnych procedur. Zdarzało się również, że pod pozorem kolaboracji z Niemcami komuniści prześladowali członków podziemia, przypisując im działania antyżydowskie, wynikające ponoć z niejako programowego antysemityzmu. Ale ogólnie rzecz biorąc, polski wymiar sprawiedliwości, na ile to było możliwe, rozliczył się z okupacyjną przeszłością. Zbrodniarze otrzymali to, na co zasłużyli. Do Polski trafiło 1817 podejrzanych o popełnienie zbrodni na terenie okupowanego kraju, z których większość została skazana na wysokie kary więzienia lub śmierć, tak jak m.in. komendant obozu w Auschwitz Rudolf Hoss, zastępca Hansa Franka, Josef Buhler, czy kat z Płaszowa Amon Göth. Jeśli zaś chodzi o sędziów, do których trafiały te sprawy, to był wśród nich np. Jan Sehn, legendarny polski sędzia śledczy pochodzenia niemieckiego, doktor prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, przewodniczący krakowskiej komisji okręgowej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, który prowadząc śledztwo w sprawie Biihlera, zgromadził kilkaset tomów oryginalnych (!) dokumentów, a z oskarżonym rozmawiał, oczywiście, po niemiecku.

Z chwilą powstania Republiki Federalnej Niemiec zaczęły się piętrzyć trudności z postawieniem przed sądem oskarżonych o zbrodnie z lat wojennych.

A to ze względu na humanitaryzm przyświecający poczynaniom młodego państwa niemieckiego, które na dzień dobry zakazało ekstradycji swoich obywateli oraz zlikwidowało karę śmierci. Równolegle zaczęła lawinowo spadać liczna skazanych za przestępstwa nazywane odtąd nazistowskimi. W 1949 r. było ich jeszcze 1476, a w 1955 - już tylko 15.

A podobno to Niemcy z RFN wzorcowo zadośćuczynili swoim największym ofiarom - Żydom.

W sumie sądy zachodnioniemieckie - te jak najbardziej praworządne i demokratyczne - orzekły ok. 600 wyroków skazujących za nazistowskie zbrodnie dokonane na 6 mln europejskich Żydów. Nie jest mi znany ani jeden wyrok skazujący sądu RFN-owskiego za udział w „polowaniu na Żydów” na terenie Polski.

A jak było pod tym względem w NRD?

Władze były tam bardziej stanowcze, lecz o decyzjach podejmowanych przez organ bezpieczeństwa decydowała polityka. Najważniejszy był interes własnego reżimu, Związku Sowieckiego, a sprawiedliwości - już niekoniecznie. Jednak w latach 60. skazany został tam na karę śmierci Horst Fischer, lekarz SS z obozu zagłady Auschwitz, czy Josef Blösche, który jako gestapowiec służył w Warszawie i brał udział w likwidacji getta.

Okazać się jednak miało, że to Niemcom z RFN udało się zafundować światu kłamstwo o złych nazistach, którzy winni są zbrodniom nie tylko na Żydach, choć na nich przede wszystkim, lecz także na Romach - co się podkreśla, na homoseksualistach, niech będzie, że i na Polakach, ale też na Niemcach, bo jakżeby inaczej.

W zeszłym roku Uniwersytet w Bielefeldzie przeprowadził badania, z których wynika, że 69 proc. Niemców twierdzi, iż wśród ich przodków nie było sprawców II wojny światowej, a 54 proc. doszukało się wśród nich ofiar tejże wojny. Wielki triumf odniosła niemiecka propaganda historyczna, potrafiąca takie akty bez większego znaczenia - jak przyklęknienie kanclerza RFN Willy'ego Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie w grudniu 1970 r. - podnieść do rangi epokowego wydarzenia. A polityka ta, zda się, odnosi sukcesy także w Polsce, gdzie Niemcy zbudowali obozy zagłady, w których wymordowali 90 proc. polskich i większość europejskich Żydów. I to u nas, w polskim Wrocławiu, centrum im. Willy'ego Brandta nie pozwala zapomnieć o tym, co jego patron zrobił pół wieku temu na stołecznym Muranowie. Uklęknął! I kwiaty złożył!

Podobno polscy naukowcy ścigają się, by dostarczyć naszemu zachodniemu sąsiadowi materiałów dowodzących polskiej winy, a przynajmniej współwiny w Holokauście. Z kolei polscy propagandyści przedstawiają wysane z palca bzdury jako świadectwo zagłady. Tak działo się przed laty z „Malowanym ptakiem” Jerzego Kosińskiego, który nie daje o sobie zapomnieć i wraca, a to pod postacią filmu, a to znów sztuki teatralnej. Od pół roku czołowe miejsce na liście bestsellerów w Polsce zajmuje powieść australijskiej pisarki, a wcześniej przed drukiem tej debiutanckiej książki pielęgniarki, Heather Morris - „Tatuażysta z Auschwitz”. Zdążył pan wspomnieć o niej w „Kto dopomoże Żydowi...”, cytując wywiad przeprowadzony z wyraźnie niedouczoną autorką przez „Gazetę Wyborczą”. Morris opowiada w nim, jak bardzo poruszyło ją to, że Polacy ze wsi znajdujących się nieopodal budowanego obozu, choć widzieli, co tam się dzieje, pracowali dla Niemców.

Oczywiście, Australijka nie wiedziała o tym, że na początku 1941 r. Niemcy utworzyli strefę interesów KL Auschwitz, z której przymusowo wysiedlili Polaków i Żydów, w ich miejsce sprowadzając niemieckich kolonistów. Polacy również pracowali w obozie. Jednak jak wytłumaczyć pisarce z antypodów, że możliwości sprzeciwu mieli mocno ograniczone, a właściwie w ogóle ich nie mieli. Heather Morris można wiele - choć nie wszystko - wybaczyć, ale dziennikarz „GW” miał obowiązek zwrócenia uwagi na luki w jej wiedzy o powstawaniu i funkcjonowaniu obozu Auschwitz-Birkenau.

Czy Polska była jedynym krajem w podbitej przez Hitlera Europie, w którym Niemcy wprowadzili specjalne prawodawstwo, mówiące o tym, że za pomaganie Żydom grozi kara śmierci?

Tego nie wiem, ale będę chciał się dowiedzieć w swojej dalszej pracy. Na razie - a przewertowałem archiwa niemieckie i rosyjskie, amerykańskie i angielskie, austriackie i węgierskie - nie natknąłem się na nic podobnego. Inni badacze milczą też na ten temat, jeśli chodzi o Francuzów, Belgów, Holendrów czy Duńczyków. Nie znaczy to, że nie sankcjonowano tam pomocy Żydom, prawdopodobnie jednak wykorzystywano istniejące przepisy, nie tworzone zaś nowych, odrębnych. Przede wszystkim inna była skala pomocy udzielanej osobom narodowości żydowskiej.

No tak, jak pan pisze, na terenie Czech i Moraw w ukryciu przeżyły tylko 424 osoby pochodzenia żydowskiego.

A jednak kilkunastu Czechów zostało skazanych na karę śmierci przez sądy specjalne. Także w Norwegii za pomoc Żydom w ucieczce do Szwecji kilku członków ruchu oporu zapłaciło głową. Ale już we Włoszech i w Danii pomoc taka w zasadzie nie była karalna.

Tymczasem Dania uchodzi za modelowy wręcz przykład oporu mieszkańców, niezgadających się na rasistowską politykę narzucaną przez Niemców.

Niemiecka marynarka wojenna aresztowała na morzu duńskich rybaków, którzy za hojną opłatą przemycali Żydów do Szwecji i wydali ich duńskim władzom, a duńskie sądy skazały niektórych z nich na trzy miesiące aresztu. Takie są fakty i nic nie wskazuje na to, aby poza okupowaną Polską Niemcy stworzyli specjalne prawodawstwo penalizujące pomoc Żydom, jak również cały

system terroru wymuszający współudział w wyłapywaniu uciekinierów żydowskich. Dlaczego? Bo nie było takiej potrzeby. Po prostu.

Zapewne inaczej wyglądała sytuacja w krajach okupowanych i satelickich.

Naturalnie! I w tym kontekście należy patrzeć na działania policji francuskiej czy kolaborantów z Litwy, ze Słowacji i z Węgier. Ale najważniejsza była wielkość zjawiska. To tu, na ziemiach polskich, mieszkało najwięcej Żydów i tu otrzymywali pomoc od obywateli polskich. Tym Żydom, którzy tutaj przeżyli Zagładę, udało się to dzięki Polakom. Gdyby nie polska pomoc, za którą groziła śmierć, żaden z nich nie przeżyłby w ukryciu lat okupacji niemieckiej. Żaden.

Opracował: Janusz Baranowski - Tatar Polski, twórca Solidarności, potomek Powstańców Styczniowych, Legionistów, Generałów, Harcerzy, Szarych Szeregów, Żołnierzy Wyklętych